

Nie zgadzam się, żeby na granicy naszego kraju umierali ludzie

- Jak Pan trafił do Medyków na Granicy?

P.P.: – Po przeczytaniu postu mojego kolegi, anestezjologa z Warszawy, Jakuba Sieczko, który napisał na Facebooku, co myśli o sytuacji na granicy polsko-białoruskiej, czyli o tym, że mnóstwo ludzi potrzebujących pomocy, nie może na tę pomoc liczyć. Mam na myśli zarówno pomoc medyczną, jak i humanitarną. To było na początku września po tym, jak na granicy zmarła kolejna, siódma już osoba. Kuba napisał post, za pomocą którego szukał ludzi gotowych wesprzeć działających na miejscu aktywistów, a może nawet pojechać na granicę. Kuba prosił też o podpisanie apelu o dopuszczenie lekarzy, ratowników i pielęgniarek do strefy objętej stanem wyjątkowym. Skontaktowałem się z Kubą i zaczęliśmy działać.

- Nie tylko Pan odpowiedział na apel?

– Na początku było nas dwadzieścia jeden osób, chociaż nie wszyscy byli związani z medycyną. Byli to także ludzie, którzy pomogli nam znaleźć miejsce zakwaterowania. Ktoś udostępnił karetkę, ktoś inny swój prywatny samochód, jeszcze ktoś zapewnił środki opatrunkowe i ochronne. Kiedy jechałem tam pierwszy raz, miałem samochód zapakowany po dach sprzętem, który zbierałem po drodze z Warszawy czy Białegostoku.

- I co dalej, tak po prostu pojechaliście?

– Chcieliśmy jechać natychmiast, jednak organizacja trwała około dwóch tygodni. Na początku października mieliśmy być na miejscu, tak się jednak nie stało, nasze pierwsze dyżury polegały na wsparciu telefonicznym działających na miejscu aktywistów. W końcu 7 października udało się nam dotrzeć na miejsce.

- Co tam zastaliście?

– W pierwszych dniach musieliśmy zbudować zaufanie między nami a organizacjami humanitarnymi na miejscu. Przecież oni nie wiedzieli, kim jesteśmy. To był czas, kiedy straż graniczna natychmiast wywoziła napotkanych uchodźców na Białoruś. Nic więc dziwnego, że potrzeba było trochę czasu, by zbudować zaufanie. Aktywiści chcieli być pewni, że prosząc nas o pomoc, nie narażają ani siebie, ani osób tej pomocy potrzebujących.

- Jak wyglądał pierwszy dyżur?

- Nie zdążyłem się jeszcze rozpakować, a już byłem w lesie i razem z aktywistami wynosiłem z niego nieprzytomną kobietę, wychłodzonego mężczyznę i dwuletnią dziewczynkę. To duże wrażenie. Przecież przed chwilą byłem w domu, a kilkanaście godzin później zderzam się z tak dramatyczną sytuacją. To był dla mnie szok i chyba dla większości z nas. Przecież na co dzień żyjemy tu spokojnie, swoim tempem, a tam umierają ludzie.

- Przecież na co dzień w swojej pracy spotyka się Pan z chorymi i rannymi.

- Tak, ale są to osoby poszkodowane na skutek wypadków losowych, a nie ludzie, którym odmówiono pomocy.

- Jakiego rodzaju pomocy najczęściej potrzebowali uchodźcy?

- Przede wszystkim czysto humanitarnej. Potrzebowali wody, jedzenia i ciepłych ubrań. Czasem drobnych zabiegów medycznych, jak zaopatrzenie ran, podanie antybiotyku czy leków, których zabrakło, a które miały pomóc w chorobach przewlekłych. To były najczęstsze interwencje. Zdarzało się, że w nocy w lesie przebieraliśmy dzieci z przemoczonych ubrań w suche i ciepłe, dawaliśmy im batony i ciepłą herbatę i to wystarczało. Ale też codziennie spotykaliśmy ludzi w stanie bezpośredniego zagrożenia zdrowia i życia, które wymagały ewakuacji z lasu i natychmiastowego przewiezienia do szpitala.

- Nie było z tym problemu?

- Niektórzy obawiając się wywiezienia na Białoruś, zostawali w lesie. Później gdzieś znikali. Prawdopodobnie korzystając z usług przemytników, przedostawali się przez Polskę do Niemiec. Większość ludzi zostawała więc w lesie, ale tych w najcięższym stanie przewoziliśmy do szpitala w Hajnówce. Potrzebujących było mnóstwo, codziennie spotykaliśmy grupy kilkunastu lub kilkudziesięciu osób, przeważnie z dziećmi. Pomagaliśmy im, a potem znikali.

- Nie obawiał się Pan o siebie? Z jednej strony udział w takiej akcji jest godny pochwały i zgodny z etyką zawodu lekarza. Z drugiej strony to trochę działanie na granicy prawa. Nie martwił się Pan konsekwencji prawnych lub zawodowych?

- Szczerze mówiąc, podejmując decyzję o wyjeździe, w ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Tym bardziej że przecież podjąłem się tego zadania w swoim wolnym czasie, nie wiążąc swojej działalności z żadną inną. Jeśli zaś chodzi o konsekwencje prawne, to zawsze działaliśmy poza strefą objętą stanem wyjątkowym. Mieliśmy też

wsparcie prawników, więc gdyby doszło do jakiejś sytuacji konfliktowej, to zawsze mogliśmy liczyć na pomoc prawną. Na szczęście nic takiego się nie zdarzyło. Byliśmy zatrzymywani przez straż graniczną i policję, czasami były to sytuacje napięte, ale nigdy nie ponieśliśmy żadnych konsekwencji.

- Czyli nie miał Pan wątpliwości, że warto?

- Udział w tej akcji był zgodny z moim wykształceniem, zawodem i specjalizacją, a także z etyką zawodową. Więc jeżeli państwo nie jest w stanie zapewnić pomocy osobom jej potrzebującym, to dzięki Kubie i kilku innym osobom udało się stworzyć grupę i uratować honor zawodu. Chociaż to może mocne słowa, to wiem, że reprezentowałem tam dużą część Polaków myślących inaczej niż nasz rząd. Udało nam się pokazać, że nie ma naszej zgody na to, żeby na granicy naszego kraju ludzie umierali z głodu, wychłodzenia czy braku wody.

Skoro jesteśmy tak bogatym krajem, jak pokazujemy się w mediach, to powinno nas być stać na stworzenie obozu przejściowego, w którym moglibyśmy dać jeść i pić głodnym i spragnionym, czy w końcu udzielić im pomocy lekarskiej. My tu żyjemy w miarę normalnie, a tam o drugiej w nocy wynosimy z lasu nieprzytomnego mężczyznę, czy wieszamy kroplówkę na gałęzi drzewa. To się dzieje w kraju, który jest członkiem Unii Europejskiej.

- Ostatecznie Medycy na Granicy wycofali się ze swojej działalności po ataku na ich cywilne samochody. Był Pan wtedy na miejscu?

- Byłem na miejscu tuż po tym ataku. Miałem mieć dyżur ostatniego dnia naszego planowanego do 15 listopada pobytu na granicy. Od początku wiedzieliśmy, że wchodzimy tam na czterdzieści dni, a później ma nas zastąpić Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Tak więc trafiłem na miejsce tuż po tym ataku i zniszczeniu pięciu prywatnych samochodów moich kolegów. Byłem gotowy do pełnienia dyżuru, ale zapadła decyzja o zakończeniu działalności i moja rola polegała na pomocy w szybkiej ewakuacji z tego miejsca.

- Jeszcze raz zapytam: nie bał się Pan o swoje bezpieczeństwo, tym razem fizyczne?

- Ta myśl pojawiła się dopiero po ataku. To był moment, w którym uświadomiliśmy sobie, że możemy być celem fizycznego ataku. Dotarło do nas, że boimy się uchodźców, czy też jesteśmy straszeni uchodźcami, tymczasem z ich strony nigdy nie spotkało nas nic złego ani nawet niemiłego. Spotkaliśmy tych osób w sumie około trzystu, w nocy w głębi lasu i nigdy nie poczuliśmy z ich strony najmniejszego nawet zagrożenia. Okazało się że groźni

dla nas byli Polacy. Ludzie, którzy nie podzielają naszych poglądów. Ludzie wywodzący się ze środowisk pseudokibiców i narodowców. To z ich strony spotkała nas przemoc.

- Nie spodziewaliście się tego?

- Oczywiście byliśmy świadomi tego, że nasza działalność nie wszystkim się podoba. Było to wyraźnie widać w komentarzach pod postami na Facebooku czy Twitterze. Ta fala nienawiści była ogromna. Jednak czymś innym jest czytanie negatywnych komentarzy na portalach internetowych, a czymś innym jest doświadczenie fizycznej napaści. Wtedy faktycznie pojawiła się obawa, że możemy się stać celem ataku.

Konsultowaliśmy się w tej sprawie z osobami, które od lat zajmują się bezpieczeństwem różnego rodzaju misji, to one utwierdziły nas w przekonaniu, że tę misję należy zakończyć. W związku z tym nasza akcja została skrócona o jeden dzień.

- Już po powrocie do Łodzi czuje Pan, że zrobił dobrą robotę, czy czuje Pan, że jej nie dokończył?

- Nie zastanawiałem się nad tym. Cieszę się, że tam byłem i nigdy nie będę żałował, że się tam znalazłem. Zrobiłbym to kolejny raz. Pozostaje żal, że akcja dobiegła końca i nie biorę już w niej udziału, chociaż zgłosiłem się do PCPM, ale to już zupełnie coś innego. Myślę, że udało się nam uratować kilka ludzkich istnień i czuję się z tym dobrze.

- Życzę Panu żeby nie musiał Pan więcej brać udziału w takiej misji. Nam wszystkim życzę, żeby misje tego rodzaju nie były już nigdy potrzebne. Przede wszystkim jednak dziękuję, że był Pan na granicy i pomagał tam, gdzie pomoc była tak bardzo potrzebna.

Rozmawiała Justyna Kowalewska

Panaceum 12/2021